REFORMA.

№ 2. Sanok, 16 września 1868. Rok I.

Drogi wytknięte.

Trojakie u nas zdanie co do polityki internacyonalnéj, jaką by sobie teraz Galicya wytknąć powinna. Jedni chcą połączenia z Węgrami; drudzy połączenia z Węgrami i z Czechami; a jedni znowu chcą dla Galicyi takiego stanowiska w Przedlitawii, jakie Chorwacya ma teraz w Zalitawii.

Łatwo zrozumieć politykę dążącą do połączenia Galicyi z Węgrami, bo wskazówką każdemu widoczną jest położenie geograficzne. Również łatwo zrozumieć dążność do połączenia się z Czechami, bo skazówką jest wspólność szczepowa. Lecz politykę stawiającą nie program własny ale program obcy — politykę napierającą się tego, co jakiś kraj inny otrzymał — taką politykę nie łatwo zrozumieć — a już najmniéj zrozumieć jako objaw autonomii. To coś jak napieranie się dziecka — gdy Józio woła: „ja chcę takiego balonu, jak dostał Jasio".

Polityka dążąca do połączenia Galicyi z Węgrami jest polityką w prawdziwém tego słowa znaczeniu, bo opiera się na rzeczywistości. Węgry albowiem są dzisiaj potęgą rzeczywistą. Uznaje to cała Europa zachodnia, nazywając państwo Austro-Hungaria. Potężnieje, kto się opiera o potęgę rzeczywistą — jeżeli sam w sobie ma choć piérwiastek potęgi. A że nam by się zdała choć mała cząstka potęgi Węgrów — o tem nie ma co i mówić.

A szanowaną jest ta potęga, bo zdobyta znojem i trudem krwawym — szanowaną, bo poczucie godności bije z oblicza téj potęgi — poczucie godności narodowéj, nieskalanéj żadną trwogą, a co większa niesponiewieranej żadnym targiem brudnym. Zaszczytnym jest sojusz z taką potęgą; a nas dotąd spotyka ten zaszczyt, że służymy za narzędzie naszym sojusznikom, za przedmiot demonstracyi wszystkim potęgom świata.

Również wydatném znamieniem téj potęgi jest dumne poczucie samodzielności — poczucie dzielności okazanéj wśród najtrudniejszych okoliczności — poczucie potęgi, zdobytej własną myślą, własną pracą i własną siłą. Potęga Węgier jest dziełem Węgier; przystoi im też to dumne poczucie samodzielności, które dla nas jest tradycyą zamierzchłą, senną marą głów młodocianych.

Dokładna świadomość celu i środków, czyli inném słowem polityka jasna kieruje całym ruchem życia narodowego. Celem jest wielkość narodu, a środkiem godność i samodzielność. Podstawą polityki narodowej jest ta prosta, każdemu zrozumiała prawda „że o narodzie stanowić ma tylko naród“ — a działanie polityczne jest tylko wysnuwaniem następstw owéj zasady, a wysnuwaniem ściśle logiczném i nieprzerwaném. — Skutkiem tego Węgrzy w każdéj chwili jasno widzą zadanie każdéj chwili. A na bezdroża zejść nie mogą, bo nigdy ani na chwilę nie schodzą z drogi konsekwencyi, która w matematycznie prostéj linii, żadnych zboczeń nie mającej, prowadzi od zasady do następstwa, do celu koniecznego a zdrowemu rozumowi zdala widomego. A gdy na téj drodze napotkają zapory nieprzeparte, zatrzymują się na niéj, lecz z niéj i krokiem nie zbaczają ani na prośbę ani na groźbę żadnę a w razie ostatecznym, przed parciem siły przemożnéj, usuną się aż do zasady saméj i staną przed nią zastępem ściśle zbitym i osłonią piersiami swémi narodową tę arkę przymierza — że chyba wtedy zostanie obaloną, gdy już uleci ostatnie tchnienie z piersi ostatniego syna narodu.

Ztąd niepokonana potęga narodu tego, że się rozwinęła organicznie z zasady jako z korzenia wielkości dęba wspaniałego, co rozłożył się széroko i daleko poza gniazdo swoje, a objąwszy głębię ziemi tysiącem jędrnych korzeni, śmiało stawia czoło wichrom i burzom. A choćby mu wicher poszarpał wspaniałe okrycie bujnego liścia, choćby burza jaka zaciekła strzaskała mu konary i pień nawet zdruzgotała: gdy wicher przeszumi, gdy burza przeminie, z głębi ziemi, z nienaruszonego pierwiastku korzenia wyjdzie pień nowy i szybko rozwinie się potęga twórcza i pojawi się znowu rozsochata wspaniałość dęba w całej okazałości. Otóż taki organizm polityczny stworzyć i otrzymać może tylko polityka zasadnicza — a wszelka polityka, nie oparta na zasadzie nie-

wzruszonéj, utworzy chyba organizm wątły i krótkotrwały, co jak szparagi szybko wybuja, szczególnie gdzie wiele jest pognoju — i szybko zginie bez śladu i pożytku rzeczywistego. O tych prawdach elementarnych szczególnie my byśmy powinni pamiętać, co dotąd z roli naszej wyprowadzamy tylko szparagi bardzo liche.

Rozumnie jest oprzeć się na organizmie jednym, jakim są dzisiaj Węgry — bo obfity zasób nasz sił organicznych, co się dotąd na wsze strony rozpryskają w szmermele i szamocą niesfornie, bez ładu i prawidła, przynosząc nie pożytek lecz szkodę — ujęty w formy należyte, pokierowany na drogi rozwoju normalnego, przeniknięty duchem organicznym — rozwinąłby się w całość organiczną.

Po naukę polityki — trzeba to jasno powiedzieć — chódzić dzisiaj potrzeba ludom, szczególnie ludom w skład państwa Austryackiego wchodzącym, do Węgier. Świetny był kurs téj nauki w Węgrzech, osobliwie w latach ostatnich, od r. 1849. Gdy im wytrącono wszystkę broń z ręki, stanęli do nauki z bronią potęgi niesłychanej, której żadna siła z rąk wytrącić mocy nie ma — stanęli do walki uzbrojeni w biernność nieprzełamaną. Przeciw władzy absolutnej rządu centralizującego postawili oni skoncentrowaną negacyę absolutną — i negacyą absolutną obalili władzę absolutną — a skoncentrowaniem negacyi narodowéj zdecentryzowoli rząd centralizujący. Przeciw samowoli, godzącéj w nich coraz mocniéj to natarciem gwałtownėm to krytą sztuką, postawili oni moc bierności nieruchoméj i mocą tą zbici w zastęp jednolity, utrzymali się niewzruszenie na posadach budowy narodowéj, na pierwiastku potęgi narodowéj, na korzeniu organizmu narodowego — na zasadzie — i zachowali ją nietkniętą i nieskażoną. To też z korzenia tego szybko rozwinął się znowu w bujnéj wspaniałości z korzenia nieuszczerbionego organizm, spotęgowany mocą negacyi — gdy rozleciał się zbutwiały absolutyzm, jak ciężka masa przegniła. Wyparłszy z obszaru swego negacyę absolutyzmu negacyą bierności — stanął naród od razu na wszystkich punktach obszaru swego do affirmacyi, do czynu początkującego, do akcyi — i akcyą tą przetwarza kraje i ludy na okół siebie.

A jak rachuba konsekwencyi kierowała negacyą, tak rachuba ta kieruje akcyę: bo tak ta jak tamta wychodzi z jednego za-

łożenia, to jest z zasady i sprowadza ten sam rezultat, to jest ściśle logiczne, nieuniknione następstwo tej zasady. To też jak w negacyi najbierniejszéj przed żadnym naciskiem nie cofa się polityka Węgier poza zasadę: tak znowu w akcyi choćby jak najgorętszéj nie posunie się w żadnéj chwili poza rezultat w chwili akcyi z rachuby ściśléj wyprowadzony.

Świetnie wyłożyły Węgry tę prawdę: *Inertia est sapientia;* świetnie odtąd wykładają tę prawdę w formie czynnej: *Actio est sapientia.*

Mało zaś komu potrzeba by raz już zrozumieć te prawdy proste, jak nam, bo dotąd u nas widna tylko *inertia*, ale *sapientia* żadną miarą dostrzedz się nie daje — *actio* zaś, czyn o celu i o środkach wyjaśnionych rachubą wyprowadzoną z zasady, jest to dla nas ląd jeszcze nieodkryty. Akcya u nas, to znaczy „coś robić“ choćby to było negacyą wszelkiéj sapiencyi a nawet prostego rozumu. Rozprawiamy o metafizyce politycznéj, by się tak wyrazić, a nie znamy dokładnie nauki elementarnej — spieramy się zapalczywie o architekturę przyczołka na pałacach, które stawiać chcemy, nie mając nawet podwalin na chatę prostą — zakreślamy historyę przyszłości a nie znamy historyi dni naszych i zakątka naszego — a najpraktyczniejszymi mianują się u nas ludzie, co nie znają nawet abecadła prawd, kierujących życiem praktyczném narodów.

A nam do życia obudzić się teraz już koniecznie potrzeba, do życia, przed którém by jasne były wytknięte cel i środki; do życia według praw życiem kierujących, do życia w pełni sił żywotnych — nadającego moc twórczą — moc przyszłości narodowéj.

Dlatego nam szkoły potrzeba — szkoły rzeczywistej sapiencyi politycznej — i zacząć ją trzeba koniecznie od początku. Ale czas nagli — i nie ma chwili do stracenia — inaczej zastaną nas wypadki jako dzieci stare.

Dotąd w spak robimy wszystko, i z nami też inni wspak robią.

Gdzie trzeba postawić zasadę, my stawiamy jakieś rachunki: a gdzie trzeba rachuby ściśléj, tam stawiamy jakieś niby zasady. Sławne te rachunki nasze. Zwykłe nasze działanie arytmetyczne jest takie: Ponieważ $1 + 1 = 2$ więc $2 + 2 = 3$. Te też, gdy nam

kto uiścić się ma z należytości, prowadzi to działanie na podstawie wydobytego już przez nas rezultatu dalej, aż pojawi się ostateczny rezultat zero, a jeszcze częściej potężne Minus. —

I tak, zanurzyliśmy się w tych bystrych rachuneczkach zawiłych subtelności rachunkowych, że nie umiémy zrobić prostego rachunku, gdzie dane są grube liczby znaczące: tak daleko zaszliśmy krętymi ścieżkami, które ukryte są przed jasnością słońca, że nie umiémy trafić napowrót do tej jasności i widzieć prawdy widne całemu światu — prawdy wypisane powierzchnią ziemi.

Przymierze Węgier z nami uważamy w ogóle za rzecz naturalną, która się tak samo przez się rozumie, że nie ma nawet o tem co rozprawiać. Wyobrażenie to z gruntu fałszywe.

Węgry odznaczają się szerokim obszarem ku południowi: ku południowi też ciąży waga ich polityczna — zewsząd ściśle zamknięte, otwarte wyjście naturalne mają tylko na południe — jak ręką wskazują wody państwa tego, mianowicie prujący je na wskróś Dunaj, drogę na wschodnie południe. Tą drogą też dążyła po wszystkie czasy prawdziwa polityczna akcya Węgier — w kierunku tym występowała moc polityczna Węgier, gdy w czasach wielkiej potęgi występowała poza granice naturalne, rozpościérając się pomiędzy Bałkanem i Dunajem od Adryatyku po morze Czarne. — Jak przez wszystkie wieki ku południowi staczał się ciężar polityki węgierskiej: tak i dzisiaj, jak przez wszystkie wieki ubiegłe, przechyla się polityka węgierska według praw natury ku południowi. A mężowie, co stosują politykę Węgier, czerpiąc naukę z doświadczenia wieków wszystkich, śledzą szczególnie prawa zasadnicze życia historycznego i dla tego wiedzą, że ruch życia historycznego wtedy tylko doprowadzić może do wielkości narodu, gdy rozwija się w sposób od natury wskazany. Jak dawniéj w czasach potęgi przemożnej ostateczny kres polityki węgierskiej wskazywała gorąca akcya orężna nad ujściem Dunaju u brzegów morza Czarnego, której ofiarą padł Władysław III: tak dzisiaj, w czasach wzmagającej się potęgi Węgier, wskazuje ten sam naturalny kierunek polityki węgierskiej Białogród serbski nad Dunajem, niejako pierwszy posterunek wysunięty, gdzie do akcyi polityczno dyplomatycznej, do akcyi organizacyjnej z ramienia państwa austryacko-węgierskiego stanął Węgrzyn. —

Na północy zaś całéj i na wschodzie, od Szląska aż po Mułtany, osłoniły Karpaty państwo węgierskie wałem obronnym w ciągu nieprzerwanym i stanęły zaporą pomiędzy Węgrami i Polską, a mianowicie Galicyą dzisiejszą. Po wszystkie też czasy prawdziwa akcya polityczna Węgier odwrócona była od krajów z tej strony Karpat położonych. Ilekroć zaś na obszar ten zstąpiła, przekroczywszy zaporę naturalną, idąc więc kierunkiem nienaturalnym, tylekroć szkodę wyrządzała i szkodę ponosiła. Tak było za Leszka Białego na Rusi halickiéj, gdzie panowanie węgierskie zakończyło się zniechęceniem Rusinów: tak było za Jana Kazimierza, gdy węgierski książę Siedmiogrodu przystąpił do szwedzkiego planu rozszarpania Polski.

Nawet połączenie Węgier i Polski przez króla wspólnego nie bywało dla państw tych pomyślném, mianowicie dla Polski. Przez połączenie to za Władysława III, pierwszy i jedyny raz walczyło rycerstwo polskie za srom wiarołomstwa, chociaż srom ten przynajmniéj krwią swoją zmazało; przez połączenie to za Ludwika Węgierskiego rządziła pierwszy i jedyny raz w Polsce stara rozpustnica, co hucznémi biesiady urągała głodnemu ludowi. A jako dowód w oczy bijący, że wielkość Węgier nie potrzebuje wielkości Polski, stoi właśnie ów Ludwik, słusznie od Węgier nazwany Wielkim, podczas gdy Polska wielkości jego w niczém nie uczuła. — A co nie potrzebne dla wielkości Węgier, nie potrzebne i dla polityki Węgier: bo niezmiennym celem tej polityki jest wielkość Węgier. I tak być powinno. Niedołęgą jest naród, co nie dąży do wielkości.

To też wszystkie siły zwracają i zachowują Węgry na ten cel niezmienny; wśród klęsk największych wzbudzały Węgry uszanowanie a nigdy litość. A żadna korzyść, ani sława żadna, ani nawet żadna wielkość obca i choćby była wielkość ślepiąca świat cały, jak wielkość Napoleona I „boga wojny“ — nie zdolna ich sprowadzić z drogi do owego celu wiodącéj — z drogi polityki, wskazanéj prawami natury. — Rachuba z polityki téj płynąca kieruje ich entuzyazmem równie jak ich obojętnością.

Nie rozumnym jest naród, co wszystkie siły nie zachowuje skoncentrowane dla swojej własnej sprawy — ani przyszłości ani poważania mieć nie może naród, co trwoni swe siły za lada ma-

midło korzyści, za lada blichtr sławy, i na lada czyje skinienie. Wzgardliwym egoistą jest człowiek, co nic z korzyści swojéj poświęcić nie chce dla brata swego: nierozumnym marnotrawcą zaś jest naród, co sił swoich nie obraca przedewszystkiém dla siebie samego, według skazówek polityki zdrowej. —

Sprawiedliwa i rozumna polityka Węgier za wzór służyć może narodom, a nam najbardziej.

A my przeciw rachubie téj polityki, rachubie ściśle wyprowadzanéj z podstaw niezachwianych, stawiamy puste wykrzykniki, czcze deklamacye o sympatyi i braterstwie.

Sympatye i antypatye służą chyba do poparcia i spotęgowania rezultatu już wydobytego ze ścisłéj rachuby polityki: ale na rachubę samą wpływu żadnego nie wywierają. —

Że prąd naturalny polityki węgierskiej nie dąży ku nam, nad tém zapewne nie potrzebujemy się już rozwodzić. Szczęśliwe położenie geograficzne Węgier, jak zrobiło im z Karpat mur obronny, tak znowu strażą muru tego nas zrobiło — kwestyą bytu jest dla nas odpieranie wszelkiego najścia tego muru obronnego od wschodu i północy. Nie potrzebują więc Węgry z tego powodu ubiegać się o ścisłe z nami połączenie. Zresztą zaś czegóżby od nas potrzebowali? Czy płodów surowych? Tych jest u nich obfitość większa niżeli u nas. Czy wyrobów przemysłu i rękodzieł? Tych mają także więcej jak my. Czy może dzieł sztuki i światła nauki? Na to zdaje się już i odpowiedzi nie potrzeba. Czy nakoniec może pomocy dzielnej do rozumnej akcyi politycznej? Roboty nasze polityczne, wbrew najpierwszym elementom rozumu politycznego!

Połączenie więc Węgier z częścią Polski, która się dziś nazywa Galicyą, to to połączenie zamożnego z ubogim, dzielnego z niedołężnym, mocnego ze słabym. Jakiż więc byłby stosunek w połączeniu takiem Galicyi do Węgier: ubogi, niedołężny i słaby nie może być na równi z możnym, dzielnym i mocnym, nie może być sprzymierzeńcem jego, ale narzędziem.

A więc nieodzownym warunkiem połączenia Galicyi z Węgrami takiego, aby rzeczywistą korzyść przyniosło narodowi, jest wysnucie potęgi narodowej z narodu samego — a nieodzownym tegoż warunkiem jest utworzenie choćby zawiązku prawdziwej

polityki narodowej, t. j. polityki dążącej do wielkości narodu drogami od natury wskazanymi.

Jak polityka Węgier stacza się całą wagą swoją ku południowi, jak obszar Węgier, jak wody tego obszaru: tak polityka narodu naszego staczać się ma w kierunku południowo-wschodnim i w kierunku północnym, jak stacza się obszar nasz i wody nasze najznaczniejsze.

A jak potęga Węgier powstała z akcyi politycznej rozwiniętej naprzód w pośród obszaru naturalnego, połączeniem ścisłem z ludami, z którymi Węgrów łączył obszar Węgier od natury zakréślony: tak naród nasz do potęgi politycznej dójść może tylko wtedy, gdy potęgę tę osiągnie najpierw przez ścisłe połączenie z tym, co są nam braćmi według prawd geograficznych i historycznych, braćmi po mieczu i kądzieli, braćmi doli i niedoli. Gdy staniemy ścisłym braterskim sojuszem z ludem, co zalega obszar od Karpat aż po Dniestr, a od Sanu aż do ujść Dniestru: staniemy potęgą rzeczywistą, szanowaną w obec wielkiej przeszłości. Nie odważy się nikt wtedy rzucać nam w oczy słowa litości obelżywej, nie przyjdzie nikomu na myśl prowadzić nas według woli i upodobania na pasku za sobą, nie będzie nikt wyrokował o nas bez nas. —

I jak ów wielki książę Siedmiogrodu najcenniejszy przybysz z państwa węgierskiego i jedyny zapewne wielki polityk na tronie Polski grozą i uszanowaniem otoczył naród polski, bo prowadził go drogami od natury wskazanymi: tak i my, potężni ścisłem braterstwem z Rusią, pojawić się kiedyś możemy po za obszarem właściwym, jako potęga wzbudzająca grozę i uszanowanie.

A wówczas stanąć możemy do przymierza z Węgrami zarówno jak i z każdym sąsiadem, jako równy z równym, jako możny z możnym, jako dzielny z dzielnym.

Podstawę zaś do utworzenia choćby pierwszego związku prawdziwej polityki narodowej, podstawę do zaczątku przynajmniej prawdziwie narodowej akcyi politycznej podaje Galicyi dzisiaj zaręczona od monarchy autonomia. Określić autonomię tę granicami tak wydatnémi, aby one na każdym punkcie widne i jawne były całemu światu i **za żadną cenę** nie dozwolić najlżejszego nawet uszczerbienia tych granic: oto na dzisiaj akcya prawdziwej

polityki narodowej. Ale czas gorący — a odpowiedzialność za użycie tego czasu spadnie winą ciężką lub zasługą wieczną na dzisiejszych pełnomocników kraju.

Kataster w Galicyi.

Żony nie przelubisz — niemca nie przepiszesz! I prawda. — Prawem, dyalektyką i pismem wojuje ten żywioł od wieków. Jeszcze Cezar wspomina, że kiedy rozbił obóz Germanów, znalazł w ich taborze tablice z dokładnem spisem ludności — istna konskrypcya dzisiejsza! — Spisywać, numerować, klasyfikować: to już tak leży we krwi niemieckiej. — Może to chwalebne — w to nie wchodzimy, ale własność i praca nasza spotyka się w bieżących latach z jedną z takich robót, którą powszechnie zowią katastrem. Cicho, wytrwale wyrabia się w naszym kraju ten przyrząd fiskalny, którego następstwa mogą zadecydować: do kogo właściwie u nas ziemska własność należy? czy do tych, co ją posiadają, czy do erarium. — Rozbiór był gwałtem, ale kataster odziany prawem jest dla tego groźniejszy, że tamten kraj tylko dzielił, ten zaś wyrokuje o własności prywatnej — o własności, która może ostatniem jest polem jakie nam pozostało na szachownicy walk nieprzebranych. Działanie katastru tém jest groźniejsze, że stawa na ziemi naszej z chwalebnym zamiarem nowego rozkładu podatków na każdego z osobna. Ale ma on spełnić i drugą funkcyę czysto polityczną, bo dokonać równego rozkładu podatków na wszystkie prowincye Austryi. Jak słuszność tego rozkładu w miarę sił produkcyjnych każdego kraju zapewnia jego niezawisłość w składzie Państwa, tak przeciążenie staje się wywłaszczeniem. Dla tego poświęcimy w tym piśmie czasowym stałą uwagę czynnościom katastrowym i krok w krok pójdziemy za niemi. —

Podatki bywały pobierane różnym sposobem, lecz najsłuszniejszem zdało się opodatkowanie czystego dochodu z ziemi. — Ale jak znaleść ten czysty dochód? Otóż wszystkie sposoby do tego razem wzięte, zowią się katastrem.

Chcąc dójść czystego dochodu trzeba wiedzieć dokładnie, ile kto ziemi posiada; trzeba było kraj cały rozmierzać. Potem potrzeba było rozpoznać gatunek ziemi posiadanej czyli jest dobra, gorsza lub najgorsza? oznaczyć ile i jakie produkta każden gatunek ziemi wydać może i jakich nakładów potrzeba na uzyskanie tych produktów. Potrąciwszy nakład od wypłodu, oceniając jednakim szacunkiem jeden i drugi, wyniknie reszta jako czysty dochód, który się podatkiem okłada. Oto jest dopiero szkielet katastru; to też nie na tém koniec. Albowiem ceny wypłodu jak i nakładów muszą być wzięte z takiego czasu, gdy je normalny urodzaj wszystkich ziemiopłodów w zwyczajnym stosunku do siebie postawił.

Ponieważ myśl stałego katastru powzięta była jeszcze przed rokiem 1820, więc przyjęto ceny z 1824 roku, który miał i urodzaj ziemiopłodów i ceny normalne, za podstawę oszacowania. Ale i to nie wystarcza, bo chcąc dochodzić słusznego ocenienia czynników wypłodu i nakładu — nie można stanowić ceny dla kraju powszechnéj; albowiem ta znowu zmienia się według miejscowéj produkcyi tejże ilości, — gorszej lub lepszej jakości, trudnego albo łatwego odbytu, kosztów wywozu a przy nakładach według odległości gruntu od zamieszkania, przystępności do niego, łatwej lub ciężkiej uprawy, wylewów wody, spłaszczystości położenia, wyniosłości nad poziom morza, wysokości ceny robotnika, drogości narzędzi rolniczych, a w końcu według wielu innych względów których by tu nie naliczył.

I któż to śmiałby się chlubić że z tak mnogich a tak chwiejnych czynników już i tak nie pewnego wypłodu i nakładów wydobędzie pewnik jakiś do obliczenia czystego dochodu, każdego właściciela z osobna? Tem mniej też utrzymywać można, że na obszarze całego Państwa wszystkie te czynniki jednostajnie i zgodnie w obrachunek będą wzięte? aby nie przeciążyć żadnej prowincyi na korzyść drugiej?

Ale przeprowadzenie katastru na tych podstawach zostało zadecydowane i tak się odbywa. A zatém musimy najprzód zbadać ile on da się u nas zastosować bez pogwałcenia prawdy i rzeczywistych stosunków naszych.

W Niemczech, a ponoś najprzód w księstwie heskiem przeprowadzono taki operat z zadowoleniem powszechném. — Terytorium małe — bonitacya gruntów przedsiębrana przez ludzi z każdą miejscowością obznajomionych — regestra gospodarskie w porządku, ceny produktów jawne i rzetelnie notowane, rzecz cała prowadzona bez uprzedzeń politycznych i sztucznych podrywek w badaniach, wydała rezultat w swych skutkach zbawienny dla rządu i ludności. Szanujemy Niemców, oceniamy ich cnoty, ale za tyle otwartości, którą nas nie raz darzą, możemy im w odwet przypomnieć ich sztywność umysłową. Gdzie nie ma ich formy, tam nic już nie widzą, zastosować się nie umieją i nie chcą — ztąd ta chęć przerabiania narodów na swoje kopyto — chęć śmieszna dnia dzisiejszego, a za ich przykładem i Moskwa dziś idzie w Polsce do czasu, aż znużona pozna ze wstydem swą niedorzeczność.

Otóż ten duch niemiecki zaniosłszy swój przyrząd katastru do Galicyi, szukał dla niego podstaw zupełnie tych samych, jakie miał w księstwie heskiem.

Za czasów wielko-niemieckich ministerstw rozesłano po Galicyi kilkunastu inspektorów katastralnych, oczywista rzecz obcych tutejszym stosunkom, choć instrukcye zapowiadały, że nawet z miejscowością mają być dobrze obeznani. Każdy miał z nich książeczkę przy sobie, w któréjby zapisywał swe spostrzeżenia po drodze. — Jedzie — widzi że orzą na dworskim łanie parą wołów — gleba ciężka glejowata; ale dzierżawca w rozpaczy, że mu dla braku poganiacza pługi darmują, siejba przepada, wyłożył pieniądz na duże woły i tak jedną parą orze do południa a z południa znużoną paść puszcza a bierze drugą. Urzędnik katastralny zapisuje z naocznego przekonania, że tam parę bydła do pługa trzymają, bo to przecież na własne oczy widział jak tylko parą wołów orano. — Postrzeżenia takie w przejeździe dla napisania pamiętnika podróży, to wystarczą, ale dla obliczenia podatków — na dostrzeżenia nie wiele można liczyć. —

Trzeba klasyfikować grunta, zapisać płodozmian będący w używaniu — grunt doskonały, musi się rodzić ziarn tyle a tyle, a próbą żniwa — przypadek zdarzył, że tak było istotnie? Uklasyfikowano stosownie do tego, choć sioło leży 270 sążni nad mo-

rzem, czegoś tam zimno, drzewa koszlawe, i nie chce się rodzić. Ale ni dziedzic ni włościanin nie wiedzą dla czego i bronić się nie umieją. — Trzeba dowodów dla cen katastralnych — katastr tem się nie kłopotał — powagą dowodu namaścił jakoweś foralia czyli ceny targowe, które miano notować po miastach i miasteczkach. — Przypatrzyć się dzisiaj temu notowaniu, cóż dopiero musiało to być w latach dawniejszych jak w 1824! — Jakieś nieszczęsne indywidyum miejskiego urzędu miało ceny zapisywać — w niektórych widocznie spisane jedną ręką, jednym atramentem i piórem naraz z całego roku, bo zapomniawszy notować co targu, na jednym dniu spisał wszystko ze swej pamięci jak się trafiło. Dzisiaj nie dojdzie z nich ani miary, ani jakości, ani ilości sprzedanego produktu którą rozumiano.

Ale dowodem cen i produkcyj mogą też być gospodarcze regestra — proszę okazać regestra, mówi instrukcya. — Nie wie niestety, czy nie chce wiedzieć, że w tym tutaj kraju od więcéj jak stu lat wszystko niepewne — złodziej zabiera i to co zapisane — klucz od szpichlerza w kieszeni, cała kontrola potrzebna, a rachunek chyba na to, by się gryść stratą oczywistą — mówże to, tłumacz, nikt temu nie wierzy w komisyi, — i prawda, że trzeba dalej sięgnąć w przebieg życia całej społeczności, by sobie to wszystko wytłumaczyć.

Nareszcie znachodzą się regestra — właściciel wykazuje przecięcie rachunków — miewał tyle a tyle, a wydał daleko więcej — zmyśla! to żaden dowód! i natenczas aplikuje się zasada, że *scriptura* tylko *contra scribentem*. Gdzież to być może, by ktoś gospodarował przy ciągłym niedoborze — cóż nada perswadować martwym paragrafom instrukcyi, ale gdyby tego gospodarza zechciano słuchać... gdzieś wyżej, to takby rzecz tę wytłumaczył:

Kiedy się ludzie na jakiej przestrzeni osiedlają, szukają warunków egzystencyi, a w miarę mnożących się potrzeb i życia pełniejszego szukać muszą i komunikacyi z innémi ludami dla wymian potrzebnych w dziedzinie produkcyi, czyli duchowej czy materyalnej. Dopiero gdy przyjdą do tego po długim mozole, częstokroć i krwi rozlewie, stanowią to, co się przedstawia jako Państwo niepodległe.

Tym też sposobem powstało i to Państwo, któreśmy tworzyli i pod témi też warunkami osiedliśmy tutaj wzdłuż Karpat. W dowód tego wskazujemy przykłady obce, naturę rzeczy i dzieje nasze. Wszak ekonomiczna świetność poczęła się u nas dopiero od czasu poddania się miast pruskich za Kazimierza Jagiellończyka, od czasu możliwych spławów, od nabycia ujść rzek naszych do morza i łatwéj a taniej komunikacyi z Zachodem. Myśl ta przewodniczyła u nas związkowi tak ziem osobnych jak szczepów, które się zlały w całość nazwaną: Polska.

Oderwiesz gwałtem z niej jaki kawałek, będzie on wegetował, ale rozwijać się po ludzku jak inne kraje nigdy nie zdoła — iścizna pracy jego okaże ciągły niedobór i jego następstwa, bo potwornością zapór granicznych zwichnięte zostały niezbędne funkcye do rozwoju. Takim krajem jest Galicya, dziwoląg ekonomiczny! Kto w niéj mieszka, kto nią rządzi, musi się swobodnie poruszać przez Polskę po Bałtyk — co też nawet kongres wiedeński 1815 r. uznawał. Jego stypulacye warowały różnémi zastrzeżeniami wolność ruchu i wymiany konieczne dla życia téj oderwanéj wzdłuż Karpat smugi, które wszelako setne weksacye Moskwy rychło udaremniły. Tak szlachcic zbrzydził sobie galar, mieszczanin spław swego przemysłu, bo o żydku, który ich z licha zastąpił, wolémy zamilczéć. Obydwa wpadli w tę matnię, gdzie praca bez zysku i bez nadziei, bo nie ma naturalnego odpływu. Proszę pokazać jaką industryę, któraby tutaj kiedy się udała, pominąwszy zyski losu albo szacherstwa? Czy nie bankrutuje tu Niemiec zarówno jak Polak? tak praca prywatna jak administracya rządu?

Poznańskie leży na krawędzi, Kongresówka ma przystęp łatwiejszy do morza, to też i lepiej się miały niekiedy. Najgorzéj wyszła Galicya, bo w takich granicach bez reszty ziem polskich, jest dla swej ludności workiem zawiązanym, a dla Austryi ciężkim zawodem, grubą pomyłką, której poprawkę wniesą niebawem oczywistości ekonomiczne, uprzątnie ją walka o życie i postęp, a zmusi do niej nieustanny niedobór ludności i rządu Austryi.

Oto jest zarys przyczyn, dla których zasady nauki gospodarstwa społecznego okazują się tu bałamutne, dla których też i katastr przedsiębrany pozapełniał wprawdzie swe szablony i druk-

sorty, ale minął się z rzeczywistością, tak, że musiał być poddany rewizyi, która się teraz odbywa po kraju — o czém w późniejszym artykule.

W sprawie oświaty i szkół ludowych,

przez B. T.

(Dokończenie).

Specyalny czyli praktyczny cel szkoły ludowej polega na należytem przysposobieniu uczniów do praktycznego życia, t. j.: na obznajomieniu ich z temi wiadomościami, które im w ich przyszłym rolniczym lub przemysłowym zawodzie niezbędnie są potrzebne.

Niektórzy uważają ten specyalny czyli praktyczny cel szkoły ludowej za jedyny a przynajmniej za główny. Nie możemy się na to pod żadnym warunkiem zgodzić. Główne zadanie szkoły ludowej — na to zgadzają się najwięksi pedagogowie — jest nie kształcenie zdolnych rolników i przemysłowców, ale przedewszystkiem utrzymanie i szerzenie prawdziwej oświaty. Zaniechajmy tylko w szkole ludowej humanitarnego kształcenia, a wyda ona może tęgich rolników i rzemieślników, ale nie wyda ludzi, nie wyda obywateli. Smutny lecz jawny twierdzenia tego dowód mamy na naszych żydach. Któż im odmówi wysokiego zmysłu i szczególnej biegłości w sprawach handlu i przemysłu? A jednak, czy są to — z nader małemi wyjątkami — ludzie w całem słowa tego znaczeniu, czy są to obywatele? Nie, odpowiadamy śmiało, i podajemy za przyczynę brak humanitarnego wykształcenia; bo słusznie powiedział Fr. H. Chr. Schwar w historyi pedagogii: *Der Mensch, wird er nicht in der Höhe gehalten, sinkt bis zur Unnatur herab; er bedarf fortwährend von Geschlecht zu Geschlecht der Erziehung* (człowiek, jeżeli go nie podnosimy ustawicznie w sfery wyższe, staje się zwierzęciem; potrzebuje on ciągle wychowania od pokolenia do pokolenia).

Tak pojmujemy szkołę ludową, taka szkoła jest koniecznym postulatem wieku naszego. Domagamy się wolności i samorządu

w kościele, państwie i gminie, a nie myślimy — a przynajmniej nie myśleliśmy — o tem, jak lud do tego przygotować. Wolność i samorząd bez oświaty, to ostre narzędzia w ręku dziecka; wprawny mistrz wyrobi niem dzieło użyteczne, ale dziecko skaleczy się niem lub zabije.

A teraz pytamy się, czy dotychczasowe szkoły ludowe mogły spełnić to wielkie zadanie, i jakiej reformy potrzebują, aby je spełniły. Że dotychczasowe szkoły nasze ludowe nie spełniły tego zadania, dowodem tego jest obecny stan ludu naszego; że go zaś spełnić nie mogły, to leży w nich samych, a mianowicie:

1) najprzód w ich niedostateczności co do czasu. Wychowanie człowieka powinno się poczynać z jego urodzeniem i trwać tak długo, jak długo jest potrzebne i możliwe, mniej więcej aż do pełnoletności t. j. u mężczyzn aż do 20—22, u kobiet aż do 17—20 roku. Nie sądźmy, że to zbyt długi czas, jakiego na wychowanie człowieka żądamy. Obowiązki, które go w życiu czekają, są zbyt ważne i trudne, ażeby się do nich w krótszym czasie godnie przygotować można. Zresztą czyż nie poświęcają tyleż czasu na wychowanie w stanach wyższych? Prawda, że obowiązki kapłana, nauczyciela, sędziego.... w ogóle ludzi tych zawodów, którzy do przewodnictwa innym na drodze żywota są powołani, trudniejsze są, niż obowiązki rolnika lub rzemieślnika. Alež do obowiązków męża, ojca, gospodarza, obywatela, jakie każdego człowieka, a więc i rolnika i rzemieślnika czekają, czyż można się w krótszym czasie należycie przygotować?

Sądzimy przeto, że wychowanie powinno obejmować trzy okresy życia, wiek dziecięcy, wiek chłopięcy i wiek młodzieńczy. Każdy z tych okresów wymaga innego postępowania z wychowańcem, innego trybu nauki. Niezawodnie spotkamy się tutaj z zarzutem, że wychowanie dziecka aż do lat chłopięcych t. j. do 6—8 roku życia jest i pozostanie nazawsze zadaniem li tylko rodziców, i że ich szkoła w tej mierze w żaden sposób zastąpić nie może. Przyznajemy, że jak długo idzie o zaspokojenie wyłączne lub przeważne potrzeb cielesnych dziecka i o wywołanie za pomocą mowy pierwszych objawów duchowego życia t. j. mniej więcej aż do roku 3, żadna szkoła domu rodzicielskiego zastąpić nie może. Idziemy nawet dalej i twierdzimy, że rodzice są naturalnymi przed-

stawicielami najpierwszych i najświętszych interesów całego wychowania, a to na mocy nietylko naturalnych praw i obowiązków, jakie względem swych dzieci mają, ale i z powodu środków wychowawczych, jakimi oni tylko rozporządzają, a te są: miłość rodzicielska i wynikające ztąd przywiązanie, posłuszeństwo, uszanowanie i wdzięczność dzieci, życie i przykład rodziców, wreszcie żywe słowo nauki, które z ust rodzicielskich nierównie łatwiej i głębiej wnika w duszę dziecka, niż z ust jakiejkolwiek osoby, poza kołem rodzinnem stojącej. Ależ czy wszyscy rodzice czynią zadosyć obowiązkom wychowania swych dzieci? czy wszyscy mogą im zadosyć uczynić? Zapytajmy się doświadczenia, a odpowie nam, że nie. A jakież tego przyczyny? Oto brak moralności u jednych, brak potrzebnych wiadomości u drugich, wreszcie brak ochoty lub czasu u innych rodziców nie dozwala im wychować dzieci tak, jak tego prawo boże, jak tego potrzeby społeczne wymagają. Aby więc temu brakowi lub niedostatecznościom wychowania domowego zapobiedz, utworzono szkoły t. j. zakłady, gdzie ludzie zawodowi nauczycielskiemu wyłącznie poświęceni, powierzoną sobie dziatwę tego wszystkiego uczą, co im właściwie rodzice na doczesny i wieczny żywot dać powinni. Szkoła jest więc zastępczynią rodziców, a zastępczynią w tem wszystkiem, w czem rodzice obowiązkom wychowania zadosyć uczynić nie chcą lub nie mogą. Rodzice, którzy wszystkim wymogom wychowania przez wszystkie 3 stadya wieku na wychowanie przeznaczonego albo sami, albo przez przyjęte do tego osoby w własnym domu zadosyć uczynić mogą, nie potrzebują szkoły. Lecz takich rodziców jest bardzo mało. Nieco więcej jest takich, co dopiero dla młodzieńczego wieku swych dzieci szkoły potrzebują. Lecz i takich na palcach, jak to mówią, policzyć można. Bardzo wiele potrzebuje już dla chłopięcego wieku swych dzieci pomocy szkoły. Nie sądźmy atoli, aby ci rodzice, co dzieci swe dopiero od 6—8 roku do szkoły posyłać zaczynają, wszystkim obowiązkom wychowania takowych aż po ten wiek podołać mogli lub chcieli. Na tysiąc dzieci z niższych stanów zaledwie kilkoro znajdziemy takich, coby przychodząc do szkoły niższej przynieśli to do niej, coby przynieść mogli i powinni, gdyby w pierwszym stadyum swego wieku, w latach dziecięcych, tak pod względem re-

ligijno-moralnym jako też i intellektualnym lepsze otrzymali byli wychowanie. Zapytajmy się tylko nauczycieli szkół niższych a mianowicie wiejskich, a powiedzą nam, co to za surowy pod każdym względem materyał dostaje się do ich rąk; jaki brak wszelkiej zewnętrznej ogłady; jaka niezgodność, jaki nieporządek a często niechlujność; jak mało rozwinięty umysł, jak mało obudzone uczucie estetyczne, jaka nieznajomość najpierwszych religijno-moralnego życia zasad! A wszystko to jest koniecznym wynikiem częściowego lub całkowitego zaniedbania pierwszego wychowania. A zaniedbanie to jest po większej części koniecznem. Bo czyż mogą nasze wieśniaczki i mieszczki (mówimy tutaj w ogólności i nie tykamy wyjątków) przy rozlicznych a częstokroć ciężkich domowego życia zatrudnieniach zająć się wychowaniem dzieci tak jak należy? Czyż nie wiemy, że dzieci te prawie po całych dniach samym sobie zostawione być muszą. Ile to ztąd smutnych wypadków śmierci lub kalectwa, a ile — o czem najczęściej nie wiemy — wypadków moralnego zepsucia? A gdyby matki te i mogły się nawet zająć wychowaniem dzieci, czyż mają po temu siły i środki? Nauczenie pacierza i przyzwyczajenie do jakiego takiego porządku i karności, oto prawie wszystko, na czem się w najlepszym razie całe pierwsze tych dzieci wychowanie kończy. O racyonalnym rozwoju sił etycznych, intellektualnych i estetycznych, o zewnętrznej ogładzie i układności, i tym podobnych warunkach prawdziwego wychowania ani mowy nie ma.

I czyż może być społeczność obojętna na to? Czyż nie ma koniecznie zastąpić szkołą tego, czego rodzice wypełnić nie chcą lub nie mogą? Czyż zasada podziału pracy, wszędzie tak zbawienna, tu jedynie ma być szkodliwą?

Potrzeba szkoły, któraby się wychowaniem dziecka od czasu, kiedy do używania rozumu przychodzić zaczyna t. j. od 3—4 roku aż po rok 6—8 zajmowała, jest zatem widoczną. Chodzi tylko o to, jaką ma być taka szkoła.

Że urządzenie takiej szkoły i całe w niej zajęcie dziatwy musi odpowiedzieć fizycznemu i duchowemu jej rozwojowi, to nie ulega żadnej wątpliwości. Nie ma to więc być formalna szkoła, któraby czynność i zajęcie dzieci ściśle określała i siły ich zbytecznie natężała. Owszem musi im być ile możności zostawiona

swoboda w wyborze i wyk nniu czynności, a główne zadanie przewodnika tej szkoły ograniczać się będzie więcej na należyty nadzór i kierownictwo tych czynności i poddawaniu im stósownych materyałów. Miejscem takiej szkoły ma być w lecie w pogodnej porze ogród, a w zimie i w czasie niepogody obszerna izba. Jedno i drugie musi być suche, zdrowe, utrzymywane jak najschludniej i zaopatrzone w stósowne przedmioty do zajęcia i ćwiczeń tak fizycznych jak i umysłowych małej dziatwy. Więcej jak 40—50 dzieci nie powinno się mieścić w takiej szkole; inaczej trudno ich w każdym kroku doglądać i na ich indywidyalność należycie wpływać. Nie powinny też dzieci zbyt długo — nad 6—8 godzin dziennie — w takim zakładzie bawić, aby ich od rodzinnego ogniska nie odstręczyć. Bezpośredni nadzór i kierownictwo takiej szkoły oddać najlepiej doświadczonej i pedagogicznie wykształconej k o b i e c i e, przejętej szczerą miłością dziatwy i swego powołania i dalekiej od posępności i wszelkiego marudztwa; a miejscowy nauczyciel, pleban lub dyrektor szkoły powinien ją kontrolować i wspierać.

Podobne zakłady istnieją już w Niemczech pod nazwą ogrodów dla dzieci (*Kindergarten*), a jeżeli nie wszystkie i nie wszędzie odpowiedziały oczekiwaniu, to leży to nie w ich istocie ale w ich wadliwem urządzeniu. Zakłady takie urządzone i kierowane należycie muszą przynieść pożądane owoce, nietylko dla klas niższych, które tu głównie na oku mamy, ale i dla klas średnich. Jakoż inaczej być nie może. Wejdźmy tylko do takiego zakładu. Jakież tam życie; jak pilnie i skrzętnie zajęte każde dziecko; jak wdzięcznie odbija się niewinna jego dusza w każdym kroku, w każdem słowie, w igraszce, w piosnce, w rozhoworze! Wrodzony a niepohamowany do działania pòpęd, któremu dom rodzicielski rzadko dostarczyć może potrzebnego a zdrowego pokarmu, znajduje tutaj zupełne zadowolenie, stósowne prowadzenie i należyte umiarkowanie. Wśród ciągłego a stosownego zajęcia rozwija się prędzej i silniej dziecięcy umysł; schludność i porządek w izbie i ogrodzie i piękny kształt bawideł budzi zmysł estetyczny; ciągłe obcowanie z rówiennikami różnego usposobienia wpaja zgodność, usłużność, wzajemne przebaczanie i inne cnoty społecznego pożycia, a nieustanna baczność i troskliwość przewodniczki, zapobie-

gając wszelkiej nieprzyzwoitości i zdrożności lub karcąc takową i rzucając przy każdej sposobności na bujną rolę serc dziecięcych ziarno chrześcijańskiej nauki i ogrzewając takową prawdziwą miłością i cierpliwością, krzewi miłość cnoty i odrazę od złego. Już sama chęć, z jaką dzieci do takiego zakładu spieszą, i zadowolenie, z jakiem w nim przebywają, jest dostatecznym dowodem jego potrzeby i odpowiedności.

Przynoszą wreszcie zakłady te i tę korzyść, że rodzice, starsze rodzeństwo i sługi odwiedzające takowe uczą się na żywych przykładach, jak prowadzić dzieci, jak się z niemi obchodzić, jak na rozwój ich serca i umysłu wpływać. Tym sposobem działają zakłady te zbawiennie nietylko na dzieci ale i na całą ich rodzinę.

Zachodzi teraz pytanie, gdzie mają istnieć takie zakłady. Odpowiadamy: w każdej gminie, a w miastach powinno ich być więcej, stósownie do liczby dzieci, które do nich uczęszczać mają. Wiemy, że na razie dla braku funduszów zakłady te nie wszędzie powstać mogą, ale majętniejsze gminy powinny je zaraz zaprowadzić. Uboższe powinien wesprzeć w tej mierze fundusz powiatowy lub krajowy, bo zakłady te są nie mniej ważne, jak dotychczasowe szkoły niższe. Niech tylko rady nasze gminne i powiatowe zajmą się gorliwiej i sumienniej niż dotąd sprawą wychowania, a przekonani jesteśmy, że się nie jedno da zrobić, co dzisiaj za niepodobne uważamy. Chciejmy tylko szczerze a zrobimy wiele: *nil mortalibus arduum est!*

2) Druga przyczyna, dla czego dotychczasowe szkoły ludowe zadaniu swemu odpowiedzieć nie mogły, leży z jednej strony w powiększonych wymaganiach, jakie dzisiejsze życie stawia tym, którzy w nie wstępują; z drugiej strony w tém, że teraźniejsza szkoła ludowa oddaje życiu wychowańców swoich jeszcze niedojrzałych, że zatem w czasie między wyjściem z tej szkoły a dójściem do samoistności, w czasie najstósowniejszym do nauki, pozbawieni są takowej prawie zupełnie, a tem samem narażeni na rozliczne moralne niebezpieczeństwa. Lecz to prowadzi nas do szkół drugiego i trzeciego rzędu, o których inną razą pomówimy.

Korespodencya Reformy.

Lwów, 12 września 1868.

Do laski marszałkowskiej złożono tak wiele wniosków, że kilkomiesięczną wytrwałą pracą zaledwo mógłby im sejm podołać. Tymczasem dnie sejmu już są policzone. Zaledwo parę tygodni pozostaje czasu, wiele przeto najważniejszych spraw pójdzie znown w odwłokę. Lecz i wnioski uchwalone może będą tylko daremną pracą — gdyż w dzisiejszych stosunkach wszystkie kwestye większej doniosłości zależą od rady państwa lub od ministeryalnej łaski. Dlatego ludzie dalej widzący nie wiele cenią mrówczą skrzętność posłów, którzy pracują nad przedmiotami małoznaczącemi i sądzą, że się dla dobra kraju poświęcają — nie bacząc, że piérwej należałoby położyć podwaliny autonomii, zapewnić krajowi stanowisko niezawisłe — inaczej wszelkie usiłowania będą daremne.

Komisya wybrana do zbadania wniosków Smolki i Zyblikiewicza odrzuciła obydwa wnioski i uchwaliła adres, którego ułożenie poleciła podkomitetowi. Rezultat obrad tej komisyi można było z łatwością przewidzieć; skoro wiadomym był skład jéj, nie ulegało najmniejszéj wątpliwości, iż wniosek Smolki upadnie. Zostali bowiem wybrani ci właśnie posłowie, których kandydaturę postawił hr. namiestnik, zapewne w porozumieniu z posłami pochwalającymi jego politykę. I powtórzyło się na małą skalę tożsamo smutne widowisko, które odbyło się w sejmie na dniu 2 marca 1867. Puszczono w obieg groźbę rozwiązania sejmu — a posłowie żywiąc to niezłomne przekonanie, iż kraj nie zdołałby drugi raz wybrać reprezentacyi takiéj, jak obecna — pospieszyli z wyborem wszystkich osób przez hr. namiestnika wskazanych, z tą tylko różnicą, że powodując się resztką jakiegoś poczucia samodzielności wybrali pp. Smolkę i Grocholskiego, zamiast ks. Sanguszki i hr. Jabłonowskiego. Niemniéj przeto stronnictwo przeciwne polityce stanowczej zyskało w komisyi ogromną większość.

Adres więc będzie przedłożony sejmowi. Może p. Ziemiałkowski odszuka ów słynny adres przeszłoroczny, który nazajutrz po przedłożeniu cofnął z tak uprzedzającą grzecznością dla ministerstwa — a najwygodniéj byłoby trzymać się przeszłorocznego adresu, tem więcej, że sejm cofając go oświadczył że jest wyrazem żądań kraju, a jeszcze więcej dlatego, ponieważ może znowu okazać się potrzeba cofnięcia go i przechowania w aktach aż do stosowniejszej chwili, tymczasem zaś wysłać do Wiednia tych samych delegatów, którzy tam bronili autonomii Galicyi z skutkiem zaiste niepospolitym.

Gdyby dziś wzięto pod obrady kwestyę adresu, prawdopodobnie zostałby takowy uchwalony; ile jednak zmieni się usposobienie sejmu w najbliższych tygodniach, trudno przewidzieć, a trudniej jeszcze obliczyć, ile w danej stanowczej chwili skutkować będzie zręcznie rzucony popłoch..... Historya zapisze obok słynnego „*Hannibal ante portas!*“ drugie niemniej straszliwe hasło: „S e j m b ę d z i e.... r o z w i ą z a n y.“ Lecz tamto hasło

było Rzymianom pobudką do wysileń energicznych, do postępowania wprzód: nasze hasło galicyjsko-sejmowe zaś pobudza do cofania się w tył.

Głównym jednak obecnie przedmiotem rozmów, kombinacyi politycznych i najróżnorodniejszych domysłów jest przyjazd N. Pana. Z programu odwiedzin cesarskich wykreślono rewię wojsk, ośmiodniowy więc pobyt N. Pana, w towarzystwie br. Beusta i hr. Andrassy, ma być jedynie przeznaczony na ułożenie kompromisu Galicyi z Cislitawią.

Dwa prądy walczą w Wiedniu. Ministerstwo cislitawskie, będące wyrazem większości rady państwa, chce utrzymania *status quo* i sprzeciwia się najmocniej podróży cesarskiéj. Gabinet i sejm węgierski, kierując się dobrze zrozumianym własnym interesem, żąda ugody z Polakami i nakłania cesarza do wyjazdu. Dziś gdy już program podróży ogłoszony, mogłyby chyba jakieś nieprzewidziane zdarzenia wpłynąć na zmianę lub odroczenie projektowanych odwiedzin, — Pierwszy to raz, odkąd kraj nasz swobodniej oddycha, wstąpi cesarz na polską ziemię. Jest to chwila ważna; od zachowania się naszego wiele zawisło.

Opozycya nasza względem rządu nie dosięga korony — owszem winniśmy monarsze wdzięczność za udzielone nam swobody, których niestety nie umiemy tylko wyzyskać na pożytek państwa i kraju. Lecz przyjęcie ze strony Polaków, jakkolwiek będzie bez wątpienia świetne — nie może mieć tej cechy entuzyazmu, jaką odznaczały się owacye Węgrów; oni witali króla w koronie św. Szczepana, witali restauratora konstytucyi; — dla nas także hojną była dłoń N. Pana, ale cośmy od rządu rzeczywiście otrzymali, nie może zaspokoić sprawiedliwych żądań naszych.

Wierzymy, że sprawiedliwość ostatecznie zwycięży, że szczęśliwa gwiazda Austryi sprowadzi ją z bezdroża dzisiejszej małodusznej i trwożliwej germanizacyjnej polityki na szerokie tory polityki śmiałéj, polegającéj na swobodnym rozwoju narodów, a mającej wielką i świetną przyszłość przed sobą. Im prędzej to nastąpi, tém lepiej; w polityce fatalne jest: Za późno.

Lecz jeśli podróż N. Państwa ma być pierwszym krokiem w téj drodze, to konieczną jest z naszej strony męzka otwartość, jaka przystoi ludziom wolnym, a której lękają się służalce dworaki. Uszanowanie dla gościa najdostojniejszego nie powinno stać na przeszkodzie otwartemu wyjawieniu żądań kraju, jego cierpień i nadziei. Będzie do tego wielokrotna sposobność. W samym Lwowie zabawi N. Pan przez ośm dni. Liczne deputacye, które będą przedstawione, a przedewszystkiem sejm — powinien bez ogródki wypowiedzieć całą prawdę. Monarchowie nie podróżują dla rozrywki, lecz w celu przekonania się naocznie o stanie krajów. Bezmyślne komplementa zaś i fałszywe zapewnienia o szczęściu wiernych poddanych — przypominają owe malowane wioski, któremi Potemkin ozdabiał spustoszone wybrzeża Dniepru i łudził caryce Katarzynę pozorem kwitnącego kraju, podczas gdy za ową teatralną dekoracyą jałowe tylko rozlegały się stepy, zasiane mnóstwem mogił i pogorzelisk. Takiemi oszukaństwy pochlebiają nikczemni niewolnicy swoim despotycznym władzcom; kon-

stytucyjnego cesarza przyjmą obywatele, tego się spodziewamy z pewnością, z szczerą przychylnością, lecz nie poniżą się do pochlebstw kłamliwych i nie zaprą się swoich przekonań, ale wypowiedzą z powagą i godnością mężów żądania i potrzeby kraju.

Przegląd polityczny.

Sprawa bliższego określenia stosunku Galicyi do innych krajów Rakuzkich poruszona w sejmie przez wnioski Smolki i Zyblikiewicza w upłynionych dwu tygodniach nie o wiele postąpiła naprzód. W sejmie rzeczy téj dotąd nié dano pod rozprawę, choć odnośna komisya podobno już ukończyła narady nad tym przedmiotem. W opinii publicznej, przynajmniej, o ile jéj wyrazem są dzienniki krajowe, zamęt pojęć ciągle jednaki, choć polemika coraz szérsze przybiera roziamry. Ogłoszony w ostatnim tygodniu program jakiegoś klubu (w ogłoszeniu brak podpisów imiennych) — jak Pragska Coresp. donosi, stronników Rady państwa zbierających się u pana Polanowskiego — wcale nie przyczynia się do rozjaśnienia zdań w téj mierze, gdyż odznacza się chwiejnością pojęć i większą jeszcze jak inne teraźniejsze roboty tego rodzaju, niejasnością i niepewnością. — Natomiast wypadki w Galicyi mocno zajmują umysły w Wiedniu i Peszcie. Centraliści nie umieją powstrzymać się od wybuchów gwałtownego gniewu, że sejm „polski" stawia przeszkody ich zachciankom, atoli i to widoczna, że nie radziby sprowadzić Galicyę na drogę opozycyjną, truchleją na myśl, że posłowie nasi mogą się nie pojawić w Radzie państwa i godzą się w duchu już na to, że Galicyi należy się wyłączne stanowisko w Przedlitawii. Nie wzdrygnęli by się oni nawet przed szérszemi nieco koncesjami, ale alfą i onegą ich życzeń i wymagań jest wysłanie delegacyi do Rady Państwa, co jak nas już doświadczenie pouczyło, w obecnych stosunkach trudno pogodzić z utrzymaniem prawdziwéj autonomii takiej, jakiej wymaga odrębne stanowisko Galicyi w składzie monarchii Rakuzkiej. — Natomiast Węgrzy na dobre są zaniepokojeni objawami nieukontentawania w krajach po tej stronie Litawii. Nie tają oni, że dla nich jest konieczny sojusz z Austryą silną, wspierającą swój byt i potęgę na szczęściu ludów; Austrya zaś dzisiejsza, w której Polacy, Czesi, Słoweni, Dalmatyńcy, Włosi i Tyrolczycy, a więc trzy czwarte mieszkańców są niezadowoleni z obecnego porządku rzeczy, nie daje im żadnej rękojmi na przyszłość.

Stronnictwo lewicy węgierskiego sejmu (mowa tu nie o skrajnéj partyi Madarasa, ale o środkowej lewicy pod przewodem Tiszy) głośno obwinia partję Deaka, że mając przeważny wpływ na ukonstytuowanie się Austryi zgodziła się na taką formę rządu, z której druga połowa monarchii jest niezadowoloną. Organa zaś środkowej lewicy zapytane jakiejby polityki na zewnątrz Wągier trzymało się to stronnictwo, skoro by zwycię-

żywszy przy wyborach stanęło u steru rządu, odpowiedziało że takiej, „którąby zadość uczyniła słusznym wymaganiom Polaków i Czechów“ (Hon); to też ministerstwo dzisiejsze w Peszcie bardzo się zajmuje tém, co się dzieje w Pradze, Bernie i we Lwowie, a pan Andrassy kilkakrotnie już a bardzo usilnie żądał od barona Beusta, by koncesyami starał się uspokoić opozycyę polską i czeską, a żądanie swe popierał przedstawieniem, iż od szybkiego a zgodnego z wolą ludów załatwienia tej kwestyi, zależy utrzymanie dzisiejszego systematu rządowego we Węgrzech, a więc i w Austryi. Lewica bowiem przyszedłszy w przeciwnym razie do władzy, nie zgodzi się ani na delegacyę państwową, ani w ogóle na wiele innych podstaw dzisiejszego ustroju monarchii.

Tymczasem w sejmie naszym przedłożono kilkanaście projektów ze strony rządu, Wydziału krajowego, jako też ze strony posłów. Do najważniejszych zaliczamy projekt ustawy o zaprowadzeniu ksiąg hipotecznych włościańskich, o podzielności gruntów, o propinacyi, o urządzeniu szkół ludowych, o języku urzędowym i t. p. nie licząc drobniejszych a mianowicie specyalnych petycyi nadchodzących w ogromnej liczbie ze wszystkich stron kraju, wypowiadających mnogie niedostatki w krajowém ustawodawstwie, a jeszcze liczniejsze w administracyi. Dotychczas załatwiono i to dopiero częściowo kwestję o języku urzędowym. Zgodnie z wnioskiem przedłożonym przez Wydział krajowy uchwalił sejm, ażeby językiem manipulacyi we wszystkich urzędach i sądach był język polski, w stosunkach zaś ze stronami na podania ruskie odpowiadano po rusku, na niemieckie po niemiecku, zresztą we wszystkich innych wypadkach polskiego używano języka. Przy uchwaleniu ustawy téj nie obeszło się bez sporów. Naprzód pan komisarz rządowy zastrzegał się przeciwko mniemaniu, jakoby wewnętrzna manipulacya w urzędach stała pod kontrolą sejmu, według jego zdania rzecz ta należy do zakresu rozporządzeń ministeryalnych. Z drugiej strony część posłów ruskich mniemała, iż te ustawy są ze szkodą i krzywdą języka ruskiego. Lecz nie stawiali oni żądań sformułowanych, ale ograniczyli się na wniosku pana Kowalskiego, by nad projektem Wydziału przejść do porządku dziennego i przed ostatecznem głosowaniem jeszcze opuścili salę obrad sejmowych. Prowadzenie całéj manipulacyi urzędowéj w dwóch językach jest po prostu niepodobieństwem, tak samo jak byłoby niedorzecznością, gdyby sąd według własnego widzimisię miał stronom narzucać język, niby to kontrolować, by każdy swej ojczystej używał mowy.

Kiedy mowa o języku ojczystym, musimy zanotować, że na drugim krańcu szerokiej ziemi polskiej w nadwiślańskim Pomorzu czyli w Prusiech zachodnich podano w przeszłym tygodniu petycyę, okrytą licznemi podpisami, żądającą zaprowadzenia języka polskiego jako wykładowego we wszystkich katolickich szkołach ludowych i w niższych gimnazyach katolickich. Z przyłączonych do téj petycyi dat statystycznych dowiadujemy się z przyjemnością, że liczba Polaków w dzisiejszej rejencyi Gdańskiej i Kwidzińskiej, tudzież w powiatach Brodnickim i Lubawskim przewyższa liczbę ludności niemieckiej.

W stanowisku Czechów względem rządu i centralistycznej większości niemieckiej nic się dotąd nie zmieniło. Widać jednakże pewien zwrot w dotychczasowéj polityce partyi ministeryalnej; początkowo chciano protestacje posłów czeskich pominąć milczeniem; pokazało się jednak, że to się zrobić nie da, gdyż za posłami stoi cały naród czeski. Postanowiono zbadać owę protestacye i wziąść je pod obrady, można to uważać za pierwszy krok do paktowania z przeciwnikiem.

W sejmie Lublańskim stronnictwo Słoweńców znalazło się w większości i przeprowadziło uchwały mające na celu zaprowadzenie języka ojczystego w urzędzie, sądzie i szkole; w innych zaś sąsiednich jak Styryjskim, Kraińskim i Istryjskim w mniejszości, Słoweńska większość postawiła w tym samym duchu wnioski, a stronnictwo narodowe krząta się wszelkiemi siłami około użycia dla swéj sprawy wszystkich możliwych środków. W Istryi i w Tryeście zaszły w ostatnich dniach manifestacye dożące do połączenia Istryi z królestwem Wiktora Emanuela.

Wszystko to objawy „antikonstytucyjne“ t. j. nieprzychylne dzisiejszemu panowaniu większości niemieckiej w Reichsracie. W obec tego bardzo słabą tylko pociechę mogą sprawić ministerstwu adresy zaufania od sejmu dolno Austryackiego i niemieckiej większości w Celowcu.

Z zagranicznej polityki na dziś mało mamy do doniesienia. Zwycięztwo opozycyi przy wyborze pana Grévy w departamencie Jura zachęciło ją do energiczniejszej pracy, partja liberalna w połączeniu z partją klerykalną jest już prawie pewna zwycięztwa przy wyborach w kilku południowych departamentach.

Pokojowe przemówienia ministra skarbu Magne i kilku innych prezesów rad departamentowych nie zdołały uspokoić opinii publicznej przed straszącem ją ciągle widmem wojny; również dzienniki pruskie uważają starcie się Prus z Francją za bardzo możliwe.

Bliższe warnnki sojuszu między Francją a Belgią i Holandją dotychczas nie są znane, samo atoli istnienie tego przymierza nie ulega żadnej wątpliwości. Głównym jego przeciwnikiem jest Anglia, obawiająca się, by ujścia Renu i wybrzeża Holandyi nie dostały się pod wyłączny wpływ Francji.

We Włoszech lada chwila spodziewać się można przesilenia gabinetu. Na dążenia pewnéj partyi we Włoszech do aliansu z Prusami, odpowiedział Napoleon świetnem przyjęciem hrabiego Girgento, brata exkróla Neapolitańskiego. We Włoszech odkryto tajne sprzysiężenie „zemsty za Mentarę“; dążeniem towarzystwa ma być przekształcenie Włoch w rzecz pospolitą.

W Anglii agitacje wyborcze coraz żywiej prowadzone. W Manchester przyszło do krwawego starcia pomiędzy stronnikami utrzymania anglikańskiego kościoła w Irlandyi a zamieszkałymi tamże Irlandczykami. Około sześć tysięcy ludzi brało udział w utarczce. W południowej Irlandyi zaczynają się ruszać Fenianie.

W Skandynawii nowo wydane ustawy o wolności przesiedlania się dążą wyraźnie do coraz bliższego zespolenia Norwegii i Szwecyi.

W dziennikarstwie pruskiem toczy się bardzo żwawa polemika na temat czy obrót kapitałów na giełdzie ma ulegać opodatkowaniu czy nie. Po stronie dzienników będących pod wpływem giełdy i bankierów stają i znaczniejsze dzienniki wiedeńskie, przeciw t. j. dla opodatkowania występują organa skrajnej demokracyi, i — dziwna igraszka losu — organa arystokratyczne a prym między niemi wiedzie bismarkowska Nord. d. All. Ztg., którą z kąd inąd kongres robotników wielką napełnia zgrozą.

Na Wschodzie rzeczy nie zmieniły się wcale. Powstańcy kandyjscy na pismo swe wystosowane do rządu angielskiego o pomoc, przynajmniej o opiekę dla rannych, otrzymali odpowiedź wymijającą, prawie odmowną. Mimo tego bój trwa ciągle.

Ostatniemi dniami wręczono wszystkim posłom dworów europejskich w Stambule memoryał mający pochodzić od komitetu kierującego ruchem bułgarskim. Autorowie kładą główny nacisk na to, że Bułgarowie powstają, bo ucisku Turków już dłużej znosić nie mogą, a nie, jak nieprzyjaciele ich twierdzą, z namowy jakiego mocarstwa — że dążąc do niepodległości nie mogą pragnąć jarzma nowego i t. p. — O ile manifest ten wyraża prawdziwe uczucia ludności bułgarskiej, trudno osądzić przy nader sprzecznych doniesieniach z tamtąd.

Obrazy Galicyjskie

przez

J. Gordona.

Pod powyższym tytułem wyjdzie w końcu bieżącego roku na widok publiczny nowe dzieło, nakładem i drukiem *Karola Pollaka* w Sanoku.

Autor po 20 przeszło latach tułactwa na obczyźnie, za przybyciem do Galicyi odebrał pierwsze wrażenie na ziemi sanockiej; — opisuje też w sposób żywy, będący cechą jego pióra, w formie powieści prawdziwej, swoje poglądy na stosunki polityczne i społeczne Galicyi, jakoteż kreśli obraz natury i postacie osób, które najwięcej go zajęły, a poniekąd i własne przygody. O ile unosi się i zachwyca nad wszystkiem, co w swej podróży napotyka pięknego i godnego uwagi, o tyle czuje się nieszczęśliwym, gdy mu przychodzi wytykać na wstępie w ojczyste progi ujemne strony kraju, gdzie pragnąłby widzieć samą doskonałość.

Ależ autor i sam powiada, że i na słońcu są plamy, że nie ma na świecie w rzeczach ludzkich doskonałości bezwzględnej, że jej siedlisko gdzieindziej, i że tu dają się spostrzegać dwie strony medalu: promienie i cienie. Porównaniem atoli powyższem nie myśli bynajmniej usprawiedliwiać szerzącego się złego, — przeciwnie, zchodzi do jego źródła i daje skazówki do polepszenia bytu tak materjalnego jako i moralnego mieszkańców.

Niektóre obrazy są nader zwierciadlane i malownicze, spotęgowane pewnym rodzajem humoru, w którym śmiech przez łzy przebija.

Główny kładzie autor nacisk na oświatę, na wychowanie.

Ze wszystkich stron kraju naszego dają się już słyszeć liczne głosy o potrzebie podniesienia i rozpowszechnienia oświaty ludowej, bo lud, to fundament. Potrzeba ta oświaty jest dziś tak ogólnie uznaną, iż bliższe jej uzasadnienie byłoby zbytecznem. Jest to potrzeba nagła, nie cierpiąca zwłoki. Krótkowidz tylko może nazywać lud nasz leniwym, niedbałym, niesfornym, skłonnym do pijaństwa, dającym się łatwo obałamucić, .posiadającym popędy komunistyczne, itd. itd., i przypisywać te wady, w których leży niedola kraju naszego, przypisywać je złej naturze ludzkiej, złemu usposobieniu, złej woli, a nie brakowi należytej oświaty w przeważnej klasie włościańskiej.

Zamiast więc radzić, pisać i znowu radzić, rozwodzić się o szkółkach ludowych, korzystniejby było, gdyby każdy z przyjaciół ludu kupił dla niego elementarze i zaczął uczyć młodszych swoich braci, lub przyjął do nich nauczyciela.

Jakże świetny podaje nam tego obraz p. Gordon w nowej książce swojej! przeczytajmy:

„...Pewnego pięknego poranku — słowa autora — Bolesław zrobił wycieczką do wsi H., gdzie uderzył go obraz godzien naśladowania i wspomnienia.

Żywy ten obraz przedstawiała grupa uczących się dzieci włościańskich. Śliczna to jutrzenka przyszłości! gdy na teraźniejszą generację tak mało liczyć można, niestety!

Wieś H. leży w okolicy miasteczka Brzozowa, wśród równin sanockich nad Wisłoką. Zdala góry zamykają horyzont: na jednej z nich sterczą malowniczo zwaliska zamku w Odrzykoniu; drugie

ukrywają wsławione zdrojowiska mineralne Iwonicza — wody jodowe, tak rzadkie w Europie.

Dojeżdżając do H. postrzega się krzyże i kapliczki przy drodze; a wśród zabudowań kmiecych, i czystych i schludnych, wznosi się kościół modrzewiowy ze starą dzwonnicą. Lud tu nie tylko nabożny, lecz i stojący wyżej w oświacie, przemyśle i poczuciu narodowem od włościan sąsiednich.

A jednakże poczucie to, jak świadczą fakta, dalekiem od niego było w r. 1846.

Zkądżeż ta przemiana?...

Oto winien ją oświacie i dobremu obejściu dziedziczek wspomnionej posiadłości.

Lud ten zadaje kłam wszystkim tym, którzy nazywając chłopa pogardliwie c h a m e m, starają się dowieść, iż nic z niego zrobić nie można. Wszelakoż ów Cham był podobno bratem Sema i Jafeta! Zaprawdę, trudno go przeistoczyć, jeżeli osada ma posiadacza, wpisanego w tabulę krajową, należącego do rycerstwa dawno nierycerskiego, którego mało obchodzi stan moralny Chama, i który obojętnie patrzy jak Icek lub Herszek arendarz o rudej brodzie i rozczochranych pejsach, wyzyskuje nędznego chłopa, *mudia, durnego Iwana*, jak go zwykł nazywać.

Podniesieni na umyśle i duchu wieśniacy w H., posyłają już synów swoich dla wykształcenia do szkół rzeszowskich i przemyślskich. W niektórych objawia się talent do sztuk pięknych. W kapliczkach wiejskich dają się spostrzegać rzeźby ich własnego dłuta.

Rok 1863 i 1864 liczył w oddziałach powstańczych kmieci tamtejszych, którzy przyjmowali rycerzy z pod Grochowisk i Węgrowa jak braci, nietylko nie odmawiając im przytułku i zwyczajnej opieki, ale nadto legitymując ich, jako niby należących do ich rodzin, w razie poszukiwania przez policję.

Zatrudnienia dziewcząt, ich hafty i ręczne roboty zasługują na wzmiankę — z a s ł u g a zaś cała należy się pannie Ludmile, pracy jej, poświęceniu i wytrwałości. Szczęśliwa, że może bliźnim świadczyć dobro! Jakże kraj byłby szczęśliwym, gdyby wiele podobnych wydawał niewiast....

Ona to we czwartki i w niedziele zgromadza dzieci wszystkie do siebie. We dworze ma jedną salę urządzoną na szkołę — poustawiane w niej są ławki za stołami; na środkowej ścianie porozwieszane obrazy: Matka Boska Częstochowska, Bolesław Śmiały zdobywający Kijów, Zgon Czarneckiego, Jan Sobieski pod Wiedniem i Obrona Częstochowy.

Przyjemny widok, gdy chłopcy od lat 8 do 14 w szaro-niebieskie surduciki przyodziani, zasiędą w szkole ławy przy ścianach; — bliżej, dziewczęta w różnobarwnych gorsecikach i spodniczkach, z wykładanemi od koszuli białemi kołnierzami i wstążkami wplecionemi w warkocze; — a twarze wszystkiej tej dziatwy tak jowialne, wyrażające zadowolnienie! a oczy wlepione w urodziwą i szlachetną ich nauczycielkę!...

Ta ostatnia, młoda matrona polska, siedząc na wywyższeniu, odczytuje dziatwie powolnym głosem ustępy z Biblii lub z historji polskiej; następnie wykłada je, powtarza i tłumaczy; potem na wyrywki zarzuca pytaniami wszystkich swoich uczniów z zadanej lekcji.

Na uwieńczenie — jeżeli to niedziela — dzieci chórem śpiewają piosenki, usnute z dziejów narodowych — np.:

Boże Ojcze, Twoje dzieci
Płacząc, żebrzem lepszej doli;
Rok po roku marnie leci,
My w niewoli — my w niewoli!

Bartosiu, Bartosiu, oj nie traćma nadziei,
Bóg poblogosławi — ojczyznę nam zbawi!...

Wrony konik w lot biega,
Głos się wodza rozlega — w las! itd.

W ranne godziny, gdy się same dziewczęta zejdą, rozdaje im Ludmiła roboty do szycia, przykrawuje i uczy każdą krawieczczyzny. Wtedy to mnóstwo główek w warkoczach, kwiatach i wstążkach, składa jakby różnobarwny, żywy wieniec, po nad którym góruje jasna główka blondynka samejże nauczycielki. Bolesław zwykł ją był nazywać kasztelanką.

Otóż kasztelanka ułożyła raz teatr amatorski z dzieci wiejskich, o którym w liście do autora Obrazów galicyjskich tak się wyraża:

„„...Nie byłabym się ośmieliła wzywać Pana na dzień 15 maja czyli raczej przypominać się pamięci Jego, gdyby mię nie zachęcało do tego wspomnienie, żeś Pan życzył sobie poznać uczniów i uczennice moje; żeś mnie zachęcał do wytrwania w mojej maej pracy, i że jesteś przyjacielem ludu naszego. Więc może przyjemnym Ci Panie będzie — myślałam — widok teatrzyku i obrazów złożonych z dzieci wiejskich i zadowolenia ich rodziców (co jest niezaprzeczenie dowodem postępu i wzniesienia się umysłu, jako i serca tychże).

Jeszcze za życia ś. p. ojca mojego, protektora mej szkółki domowej, urządziłam raz taki teatr wiejski, a dwa razy żywe obrazy, i przekonałam się, że podobnego rodzaju widowiska najsilniej działają na ludu wyobraźnię, która u niego ma przewagę nad rozumem i sercem.

Treść moralna małej, ale narodowej komedyjki, tudzież obrazy z naszej świetnej przeszłości i męczeńskiej teraźniejszości wzięte, zrobiły wielkie na nim wrażenie; a opowiadania o tych widowiskach trwały długo, długo między ludem, ubarwione jego własnemi dodatkami.

W innych wsiach może chłopi zgorszyliby się, żeby z ich dzieci jakieś komedje wyprawiać — lecz tu sami upominali się o częstsze takiego teatru urządzenia. Ja częściej niż raz lub dwa razy do roku nie mogę czegoś podobnego urządzić, bo i sama nie mam czasu i dzieci inne mają zajęcia — ale układałam sobie każdego roku w poście wyuczyć jakiej komedyjki te z dzieci, które przez jesienny i zimowy kurs nauk najlepiej sprawować się będą — a w maju zrobić im zawsze ową (jak nazywają) wielką uciechę, nim się szkółka rozpierzchnie do zatrudnień letnich.

Bóg inaczej rozrządził: śmierć ojca mojego i różne inne zmartwienia przygnębiły mnie tak bardzo na czas długi, że nie miałam sił ani chęci do rozrywek — dopiero tej zimy, otrząsnąwszy się trochę ze smutku, wzięłam się do dzieła.

Wybrawszy najstarszych uczniów moich, tych, co najpierwsi zaczęli do mnie uczęszczać, wyuczyłam ich sztuczki — pewnie

Panu znanej — Anczyca: „Łobzowianie.“ Jestto, podług mnie, najlepsza komedja ludowa ze śpiewkami Uczyłam tylko w niedzielę po południu, aby dni powszednich na to nie zmarnować — minęło więc parę miesięcy, zanim mogliśmy wystąpić.

Przedstawienie miało miejsce w dzień św. Zofii (patronki mamy), w ogrodzie.

Najprzód odegrano komedyjkę — poczem nastąpiły trzy żywe obrazy:

1. Polska — Ruś — Litwa.
2. Anioł uczący dziecię pod krzyżem modlić się za ojczyznę.
3. Św. Zofia z trzema córkami: Wiarą — Nadzieją i Miłością.

Między odsłonami chór przed sceną nucił pieśni narodowe. W czasie pierwszego obrazu śpiewało kilku starszych chłopców hymn na pamiątkę braterstwa Polski, Rusi i Litwy; — w czasie drugiego pieśń: Boże Ojcze!... a w czasie ostatniego jedna z dziewcząt odczytała ustęp z poezyi Lenartowicza: „Żywot św. Zofii.“

Sądzić tych obrazów nie mogę, bo byłam za kulisami; to tylko wiem, że dziatki, które do tego wybrałam, były tak śliczne gdy je ustroiłam, iż sama przy ustawianiu ich zachwycałam się temi myślącemi i wiele obiecującemi twarzyczkami — szczególniej oczy mają cudne. Podczas teatru pełniłam rolę suflera, i miałam błogą chwilę, patrząc na one dzieci grające z życiem, zgrabnością, zrozumieniem ról swoich, więc z myślą i uczuciem. Pomyślałam o przeszłości, gdy nieśmiałe pierwszy raz do mnie na lekcje przyszły; porównałam z teraźniejszością; i z otuchą spojrzałam w przyszłość!

Teatr sam przez się jest drobnostką — nie o niego mi idzie; ale o rozwój duchowy drzemiących istotek““...

Podobne zajęcia należą do obowiązków polskich kobiet, które żyjąc między ludem, winny się niejako zrosnąć z tymże ludem. Wtedy tylko może nastąpić tak pożądane a zbawienne odrodzenie. Pannie Ludmile: Szczęść Boże!...

Drzemiące niegdyś istotki, a dziś rozbudzone — dzięki pracy i zabiegom ich młodej mistrzyni — umiały okazać się wdzięcznemi. Zebrany z nich orszak przedstawił się z powinszowaniem nowego roku (1868) swej dobrodziejce, prowadząc na

podarunek dla niej tłuściuchną jałówkę, ze złoconemi rogami, przybraną w gierlandy — niosąc napisaną własnoręcznie odezwę, którą, jako akt uczuć włościańskich, dosłownie przytaczam:

„Wielmożna, najłaskawsza i najszanowniejsza Panno Ludmiło Dobrodziejko!

My, dziewczęta z H......, powodowane wdzięcznością za tyle łask i dobrodziejstw od Pani odebranych — przy zaczętym już Nowym Roku pospieszamy wspólnie złożyć Ci winne uszanowanie i życzenia wszelkich pomyślności: abyś w zdrowiu długie lata przepędzała w gronie, choć wiejskich niewykształconych, ale serdecznie Cię kochających i uwielbiających dziewcząt.

Naturalnym rozumem poznajemy i oceniamy prace Twoje i starania około wykształcenia naszego podjęte — i dziękujemy Bogu, że mamy Panią pośród nas.

Wierzaj nam Panno Ludmiło! Jakim smutkiem przejęte były serca nasze i rodziców naszych, gdy się losy ważyły o posiadanie i własność wsi H......!

Nie byłyśmy pewne, czy Pani chce nadal z nami pozostać, czy nie będzie zmuszoną opuścić nas....

Ach! byłabyś nas zostawiła w sieroctwie duchowem — łzy nasze nie ukoiłyby się nigdy — lecz jakaż radość ogarnęła rodziców naszych i nas przy powziętej wiadomości, że zostałaś dziedziczką i panią wsi naszej, i że chcesz żyć z nami i dzielić wspólnie dobre i złe dole.

Otóż za wiedzą rodziców, którzy przyklaskują życzeniom naszem, i ucieszyli się z wdzięczności, jaką pałamy ku Tobie, — ofiarujemy Ci dzisiaj podarunek (jałówkę) ze składek dziewcząt szkoły Twojej nabyty — który racz łaskawie przyjąć na wiązanie noworoczne, bo pochodzi ze szczerego serca.

Nadewszystko błagamy Cię Panno Ludmiło! byś się od nas i nadal nie usuwała, lecz żebyś rugowała błędy, prostowała fałszywe pojęcia nasze — wszystko bowiem co dotąd umiemy, z łaski Pani.

Nie przykrz sobie przywarami naszemi, lecz prowadź nas naprzód do poznania Boga i ludzi; a chociażbyś od nas nie odebrała przynależnej wdzięczności i uznania, to oprócz szacunku, miłości i przywiązania, w sercu naszem rozpłomienionego, Twe

własne sumienie, żeś wypełniła obowiązki prawej obywatelki, i Bóg miłości nagrodzą Tobie.

H. dnia 12 stycznia 1868.

Na zawsze Cię kochające, wierne i posłuszne dziewczęta Szkoły:

(Następuje 33 podpisów).

Chwalić zbyt poświęcenie byłoby to ubliżać ważności zasługi. Najlepiej fakt sam za siebie przemawia. Nadmienić tu tylko muszę, że o ile w wychowaniu dzieci, a do tego dzieci kmiecych, i to nie w ciągu roku jednego ani dwóch, lecz lat wielu, podziwiam mozół i cierpliwość Ludmiły — o tyle potępiam złośliwe dowcipki pewnych dam, zdaniem których zajęcie się oświatą gminu nie jest rzeczą panieńską...

Czyż lepiej, jeśli panienka zatrudnia się czytaniem romansów, dziennikiem mód, zwierciadłem i tęsknotą za gościem?"... (*D. n.*)

Korzyść chwilowa.

„Après nous le déluge".

Tułacze w znacznej liczbie gdy na łan się zeszli,
Każdy z nich plan zasiewu wedle myśli kreśli,
Każdy orze i sieje, by w jesieni zbierać,
Bo mądry na przeszłości musi przyszłość wspierać.
Któremuś między nimi przyszło coś do głowy,
Że zawołał do druhów dobitnemi słowy:
— „Na co siać?... lepiej ziarno przerobić na kaszę;
Trzeba mieć na widoku najprzód dobro nasze.
Po co nam więc pracować, gdy dziś jeść możemy,
Któż zapewni, iż jutra wszyscy dożyjemy?" —
Wracają tedy do chat, dzieci ich witają,
— „Coście w polu zrobili?" — skwapliwie pytają.
— „A cóżto was obchodzi?... bierzcie... oto kasza!
Dali nam dobrodzieje, wielka korzyść nasza;
Łaski się nie odrzuca, bierze się co dają" —
— „Jutro mamyż głód cierpieć?" — dziatki zaczepiają.
— „Hm! skoro braknie kaszy, coście spożywały,
Będziecie lizać ręce, które wam ją dały." — G.

Wydawca: K. Pollak.
Odpowiedzialny za redakcyę: Aleksander Krzyżanowski.